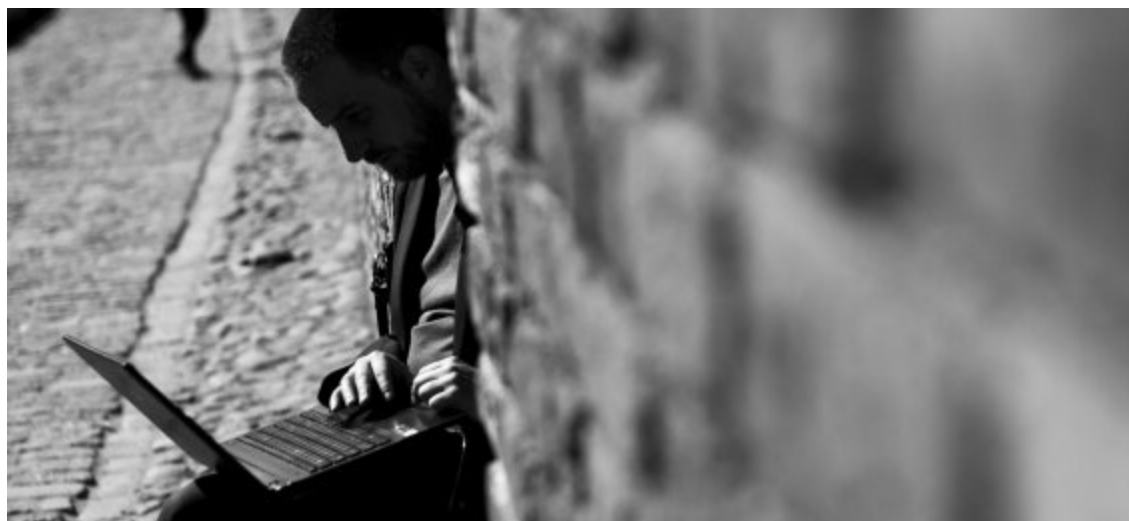


Zabawa w cara

Gra w cara była swego czasu bardzo popularna w Rosji. Lud bawił się, zakładając bogate stroje i udając wszechmocnych carów. Posłuszna im miała być nawet przyroda



Gra w cara była swego czasu bardzo popularna w Rosji. Lud bawił się, zakładając bogate stroje i udając wszechmocnych carów. Posłuszna im miała być nawet przyroda - Tekst ukazał się w miesięczniku "Nowe Państwo", nr 12/2010

Gra w cara była karana, ale to nie oznacza, że nie bawili się w nią także sami carowie. Iwan Groźny posadził kiedyś na tronie jedną osobę ze swego otoczenia. Kazał jej rozsiąść się wygodnie i trzymać carskie insygnia. A potem przebił ją nożem i to nie był jedyny taki wypadek.

Innym razem swoją ofiarę osadził na tronie dłużej, po czym wyjechał poza Moskwę. Wiedział, że jest bezpieczny, bo to on jest prawdziwym carem.

Mistyczna władza

Władza w Rosji ma charakter mistyczny. Świetnie to widać na przykładzie opisanego przez Borisa Uspienskiego zjawiska „samozwaństwa”. Osoby podające się za prawowitych monarchów zdarzały się także w krajach zachodnich. Nigdzie jednak to zjawisko nie osiągnęło takiej skali, jak w Rosji.

Samozwaństwo, jak dowodzi Uspienski, jest naturalną konsekwencją rosyjskiej koncepcji władzy. Im więcej bizantynizmu, im większa sakralizacja władzy i im głębsze samodzierżawie, tym silniejsza tendencja do pojawiania się osób podających się za prawdziwego cara.

Bycie carem nie jest bowiem sprawą funkcji, nie wystarczy sam obrzęd, a nawet posiadanie insygniów. Bycie carem oznacza przeznaczenie, carem się trzeba urodzić. Predestynacja jest ważniejsza od funkcji. I ten zasadniczy w każdej kulturze podział na władcę sprawiedliwego i niesprawiedliwego. W Rosji nie odnosi on do sposobu sprawowania władzy, ale prawowitości samego władcy – tego, czy na tronie zasiada właściwa osoba.

Stąd samozwańcy, owi „prawdziwi synowie carów” mieli znaki szczególne, jak na przykład owłosienie układające się w znak krzyża lub orła. Mieli szczególną władzę nad siłami przyrody. Z byciem carem

właściwym wiąże się bowiem władza niemal boska. Car to pomazaniec, *christos*. Z prawdziwego cara Rosjanin może drwić, ale będzie drwina szatańska, nieprawa. Jedynie co w niej pociąga, to owa świadomość diabelskiego przekraczania porządku. Samozwaństwo jest więc nie tylko zbrodnią polityczną. To wystąpienie przeciwko władzy boskiej – dlatego Dymitra Samozwańca tradycja ludowa nazywa czarownikiem.

W Rosji wreszcie istnieje zasadnicza i zadziwiająca ciągłość w pojmowaniu władzy. Lud pokojowy i nieskory do przemocy – ten lud zgodnie ze starą tradycją miał władze przywoływać i oddawać ją.

Pokorna przemoc

Dostojewski nienawidził Polaków. Nienawidził ich za brak pokory. Istnieją bardzo ciekawe świadectwa polskich współwięźniów rosyjskiego pisarza. Nie mogli oni zrozumieć, dlaczego Dostojewski pomimo zesłania nie traci wiary w carat, dlaczego nie buntuje się, ale przeciwnie, jego uwielbienie dla tyrańskiej władzy z każdym dniem jest coraz większe. To na zesłaniu właśnie pisarz tworzy grafomańskie ody ku czci panującego.

Wtedy też rodzi się nim niechęć do przybyszów z Polski, powstańców-zesłańców. On sam odbywał pokutę, nie ma przecież człowieka bez winy, także bez winy wobec władzy. Jakże więc można być takim Polakiem, który władza gardzi, nie chce zrozumieć swojej winy, tylko sam siebie stawia ponad władcą i twierdzi, że zesłany został niesprawiedliwie. Kim on jest, że takie sądy może brać na siebie?

I rzeczywiście, Dostojewski zauważył największą różnicę między nami a nimi, między Polakami a Rosjanami. Jego diagnoza, zgodnie z którą Polak stawia się sam ponad władcę, nie powinna być niczym zaskakującym, ale czymś godnym kultuwowania. To różnica, której nie zdołały zniszczyć dwa wieki rosyjskiego panowania w naszej części Europy.

Wiara w tego jednego, naznaczonego, wyjątkowego i przeznaczonego jest nam obca. Sarmata nie klękał w kościele na oba kolana, bo ten gest charakterystyczny był dla niewolników. On klękał przed Bogiem, przed władcą – owszem – ale na jedno kolano, tak jak przystoi człowiekowi wolnemu.

I wreszcie bunt przeciw władzy nie ma charakteru szatańskiego, nie jest czarnoksięstwem, ale obroną należnych swobód. I ta właśnie różnica, różnica między poddanym a obywatelem, jest podstawową przeszkodą w jakimkolwiek pojednaniu naszych narodów.

Nie nasza gra

Przede wszystkim do Polaków nie pasuje ta cała gra w cara, te zabawy w ciągle uwierzytelnianie swojej władzy, które wykracza poza zwykły spór proceduralny czy też dyskurs moralno-społeczny na temat sposobu, w jaki władza jest sprawowana.

Wprawdzie takie gierki na o wiele mniejszą skalę zdarzały się na naszych wschodnich rubieżach. Mieliśmy chociażby Radziwiłła, który jednemu ze swoich parobków ofiarował pałac ze sporym kawałem ziemi i służbą. I prowadził z nim stosunki dobrosąsiedzkie, jak przystało na królów dwóch graniczących państw. Tak było, póki Radziwiłłowi nie znużyła się nieco ta zabawa i nie postanowił napaść sąsiada-parobka. Bitwę oczywiście wygrał, chłopą wychłostał i tak skończyła się nasza gra w cara.

Nie znaczy to wcale, że można porównywać tę gierkę z rosyjską grą w cara. Po pierwsze, skala była o wiele mniejsza. Po drugie, Radziwiłł nie osadził parobka na własnym tronie, ale wydzielił mu własne księstwko. U nas w cara na poważnie nikt się nie bawił.

Rzym i misja

Ktoś mógłby dopatrywać się jednak podobieństw między naszymi kulturami, widząc je w mesjańskich dążeniach obu narodów.

Rosyjską formę polityczną ukształtowała bowiem w dużym stopniu doktryna Trzeciego Rzymu. Po upadku Rzymu pierwszego jego miejsce zajął Konstantynopol. Zdobyte Bizancjum przez Turków położyło kres drugiemu z imperiów – Rosjanie dość szybko wykorzystali jednak ten fakt, ogłaszając się Rzymem Trzecim. Jak głosił jeden z tekstów tamtego czasu: Rosja jest Trzecim Rzymem, czwartego zaś nie będzie.

Innymi słowy w Rosji zamyka się historia. Moskwa jest eschatonem – punktem ostatecznym historii. Rzymem i Jerozolimą w jednym, centrum duchowym i politycznym świata.

Kara, jaka spotkała Konstantynopol, miała być zasłużona. Bo choć Bizancjum przechowało prawowitą wiarę, prawosławie, to samo zbłądziło i zdradziło, zawierając Unię Florencką. Po ostatecznym upadku Konstantynopolu to na Rosję spadła rola obrońcy prawosławnej, a więc jedynej prawowiernej wiary. Całe jej jednoczenie ziem ruskich i wszelkich innych, które stanęły na drodze rosyjskich żołnierzy miało dokonywać się w tym własnym celu.

Władza została ostatecznie uświęcona i w tym uświęceniu sława wybraństwa spadała na wszystkich mieszkańców cesarstwa. Jakby nie byli upodleni, poniewierani, szmaceni – ich ofiara służyła wielkiej misji wielkiej Rosji. To właśnie ta wiara pozwalała Dostojewskiemu znosić znoje zesłania. Ta sama wiara sprawiała, że więźniowie łagrów nie tracili wiarę w partię i Stalina. Rosyjska koncepcja politycznej eschatologii była wyjątkowo okrutna dla własnych narzędzi.

Te narzędzia, mieszkańcy imperiów byli mało znaczącą masą. Przypomina się marszałek Żukow, który na Syberii eksperymentował z bronią jądrową. Chciał sprawdzić jak szybko armia może przedostać się przez wyłom we froncie uzyskany dzięki eksplozji bomby jądrowej. Dokonywał więc wybuchu, a następnie przepędzał przez ten teren całe dywizje. Ofiary były liczone w milionach. Wszystko w imię Trzeciego Rzymu, który dostał nazwę rewolucji bolszewickiej.

Polska nie jest Trzecim Rzymem

W Polsce doktryna Trzeciego Rzymu nigdy nie obowiązywała, a przynajmniej nie zyskała większej popularności. Wszelako Polaków posądza się o inne eschatologiczne ciągotki.

Jeśli wczytamy się w Szymona Petrycego z Pilzna, który w dawnej Polsce interpretował polityczną filozofię Arystotelesa, zauważymy, że uważał on Rzeczpospolitą za realizację starożytnego snu republikańskiego. Instytucje sarmackiego państwa miały być znakomitym odzwierciedleniem Arystotelesowej koncepcji polis. Takie przykłady można mnożyć.

Dodajmy do nich przekonanie żywione przez licznych Polaków, że są oni ostatnimi obrońcami wiary na ziemi, nadzieją katolicyzmu i inne sprawy, które wyciągają czasem nasze oświecone elity i zobaczymy, jak straszni jesteśmy i okrutni. Podobni do Rosjan, prawda? Jakim cudem zatem nie było u nas żadnego Iwana Groźnego ani Józefa Stalina? Nawet Dzierżyński musiał realizować się za granicą. I proszę nie mówić, że nie było okazji. W czasie potęgi Rzeczpospolitej takich okazji mogło być wiele. Nasza największa rzekomo zbrodnia – Bereza Kartuska – jest śmieszna w porównaniu z sowiecką machiną politycznej zbrodni.

Co więc sprawia, że nasze narody tak bardzo do siebie nie przystają?

Krwawe ukąszenie

Miłosz opowiadał często historię o czerwonoarmistach, których obserwował w czasie II Wojny Światowej. Pojmali oni niemieckiego jeńca. Ten, znając realia sowieckiej niewoli, drżał ze strachu. Sowieci uspokajali go i uśmiechali. Ot, pocziwcy. Poczęstowali go nawet papierosem. Ten uspokojony poszedł z nimi w ustronne miejsce. Tam został zastrzelony. Taka historia, jakich na froncie wiele.

Dlaczego w przypadku Rosjan ta historia nas nie dziwi? Broniąc Rosjan, powiemy, że nie dziwi, bo okrucieństwo, którego sami doznali, znieczuliło ich na śmierć i na zbrodnię. Nie można ich zatem winić. Wiele w tym prawdy. Moralna dezorientacja rosyjskich ludzi jest tak wielka, że do głowy im zapewne nie przyszło, że zrobili coś złego. I zapewne kiedyś będą osądzeni z uwzględnieniem tego całego kontekstu, tych wszystkich okoliczności łagodzących i usprawiedliwiających. Niepokojące jest jednak pytanie: dlaczego właśnie ten naród?

Dominująca interpretacja głosi, że władza rosyjska była zawsze okrutna i trudno ją usprawiedliwiać. Jeszcze trudniej się z nią dogadać. Rosyjskiej władzy możemy nienawidzić. Czym innym są jednak rosyjscy ludzie – bardziej ofiary niż oprawcy. Stoi za tym też osobiste doświadczenie spotykanych Rosjan i fascynacja kulturą. Wielką literaturą i muzyką. Niezłym nieraz malarstwem.

Jest w tym wiele prawdy. Ale pozostaje niepokojące pytanie: dlaczego właśnie Rosja? Czy jest to tylko determinizm historyczny i geograficzny? Przypadek albo okrutny żart Boga, Rządcy Narodów?

Kiedy fascynowałem się dawniej rosyjską kulturą, uczyłem się jej języka, czytałem Dostojewskiego i chodziłem do cerkwi, często stawiałem sobie to pytanie: czy można oddzielać rosyjską kulturę od rosyjskiej władzy? Rosyjskich poddanych od rosyjskich ciemiężców? Jeśli tak zrobimy, zaakceptujemy rosyjski mit o przywołaniu władzy, zgodnie z którym w Rosji władza przychodzi z zewnątrz. Ale przecież to tylko mit. Władza, nawet najmniej demokratyczna, pochodzi od ludu – to z niego wywodzą się rządcy i w nim wreszcie się przegładają. Kształtuje ich wreszcie ta sama kultura, ta sama struktura mitologiczna i ten sam język.

Kiedy Rosjanie bawili się w cara, to pomimo kpiarskiego kontekstu, akceptowali tę jedną koncepcję władzy, którą Rosja miała i w imię której dokonała więcej zbrodni niż jakakolwiek inna władza na świecie. To w samym środku rosyjskiej kultury tkwi ta zaraza, która nie pozwala o Rosji zapominać, o tym nieszczęsnym narodzie, który zrodził wspaniałych powieściopisarzy i okrutnych tyranów. To jest jedno państwo, jeden naród, jeden język i jedna kultura.

Czy są prawi Rosjanie? Są. Zapewne liczeni w milionach. Pozostają oni jednak w jakimś tajemniczym, mistycznym wręcz związku z rosyjskim państwem, które posiada zadziwiającą moc reprodukcji tych samych wzorców.

Wspomniany wcześniej Boris Uspieński, jeden z najwybitniejszych semiotyków ze szkoły tartusko-moskiewskiej, wyróżnił dwa typy postrzegania czasu: historyczny i kosmologiczny. Historyczny polega na tym, że pojmujemy historię jako ciąg przyczyn i skutków, odpowiada

mu w dużej mierze linearne postrzeganie dziejów. Drugi typ – kosmologiczny – traktuje czas jako koło, jako nieustające powtarzanie się tego co pierwotne, podstawowych wzorców. Historię Rosji można postrzegać za pomocą obu typów. Najciekawszy wydaje się jednak ten drugi, w którym te same wzorce nieustannie potrafią się powtarzać.

Mateusz Matyszkowicz